Cena numeru 10 zł

RÓŻGI

BIAŁOŁĘCKI TYDZIEŃ

Rok 1 | 3 Listopad 1946 | Nr 13

Zaduszki 1946 roku

Rys. HENRYK TOMASZEWSKI

**„Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
co to będzie, co to będzie?"**

(A. Mickiewicz - „Dziady")

LUDWIK JERZY KERN

INTERPELACJA

Ach, panie Stefanie! Ach, panie Stefanie!
Realizm — cóż to jest takiego?
Słyszałem gadanie. Widziałem pisanie.
A nie wiem do dnia dzisiejszego.

Bo jedni — to mówią mi: tak!
A inni znów — mówią mi: siak!
A jak jest właściwie? Ach, jak?

Bo piszą, na przykład: „W teatrze realizm
króluje od wczoraj na scenie".
A aktor genialny (ach, co za fatalizm!)
prywatnie powiada mi, że nie.

Więc męczy i dręczy wciąż mnie,
(te sztuki, te sztuki — te dwie)
czy to jest realizm, czy nie?

Czy można realizm, powiedzmy, podzielić
bezkarnie i w sposób beztroski,
by w części jedynie go w masach widzieli,
a w części, by był schöngeistowski?

Ten problem do głowy mi wlazł.
(Jest jesień i wogóle psi czas).
Pomóżcie więc — proszę ja Was.

Pan mówił mi kiedyś, kochany kolego,
że wielką realizm jest rzeczą.
Że jest to w istocie, coś bardzo ważnego,
a fakty dziś słowom tym przeczą.

I snuje za faktem się fakt.
Ktoś gra i ktoś gubi wciąż takt
I jak tu na dobry wejść trakt.

Ach, panie Stefanie! Ach, panie Stefanie!
Realizm — to coś okropnego.
Tu takie gadanie. Tam inne gadanie.
A szukać do dziś nie wiem gdzie go.

Bo jedni — wciąż mówią mi: tak!
A inni znów — mówią mi: siak!
A jak jest właściwie? Ach, jak?

Obywatel Rózga ma głos

Jedni mówią, że to ani chybi przez te doświadczenia z bombą na Bikini, drudzy powiadają, że to napewno przez owe białe komety nad Szwecją i Grecją, inni twierdzą, że to tylko przez stanowisko niektórych delegatów na Konferencji Pokojowej, jeszcze inni utrzymują, że to jedynie z winy Związku Radzieckiego...

Ja sam nie wiem dokładnie, kto ma rację, ale, faktycznie, zima, myślę, w tym roku przyszła ciut ciut o parę miesięcy za wcześnie. Wprawdzie pani w szkole, do której chodzi moja córeczka, bardzo się z tego powodu ucieszyła i przeczytała zaraz dzieciom ładny kawałek o kwiatach mrozu i saneczkach z dzwoneczkami, ale, niestety, kwiaty mrozu i saneczki to trochę mało. A gdzie proszę pani, pytam, coś do żarcia na zimę oraz opał? Wolałbym, aby nam dał tutaj dużo do czytania Wydział Aprowizacji.

Bardzo też się obawiamy z obywatelem Czyżykiem, że wczesna zima wywoła szlachetne zapały u obywateli paskarzy. Czułe serca na niedolę bliźniego mając, na pewno pomyślą: co, zimno? No, to okazja, żeby naród podgrzać! — i tak podniosą ceny, że nam wszystkim odrazu bardzo gorąco się zrobi.

Tak to z góry przewidujemy, mrużąc oko do Komisji Specjalnej.

Zmrużenie jednak oka nie podniosło jakoś na duchu mojego Czyżyka.

— Inne — powiada — bracie, mam jeszcze zmartwienie!

— Bój się Boga! — krzyknąłem przestraszony. — Co ty mówisz? Jakie znowu zmartwienie?

— Z nieboszczykami.

Ponieważ nie wiedziałem, o co mu chodzi, Czyżyk pospieszył zaraz z wyjaśnieniem:

— Myślę — oświadczył — o umarłych. — No, o tych, co zginęli w czasie ostatniej wojny. Przecież w tym tygodniu ich Święto — Dzień Zaduszny.

— No, i co?

— Jakto co? Z księżyca, kochany, spadłeś? Martwię się właśnie, że im na tamtym świecie musi być bardzo smutno, gdy widzą, co się dzieje na tym świecie. Umierając napewno wierzyli, że się ktoś za ich mękę i śmierć odegra, że, jak się to mówi, ofiara nie pójdzie na marne, a tu...

Pstryknął Czyżyk palcami w sposób, że tak powiem, lekceważący.

Po chwili ciągnął dalej:

— No, za to kaci naszych rodaków mogą być zadowoleni. Goering, Frank, Keitel i inni, jak im tam...

— Przecież zostali powieszeni?

Czyżyk uśmiechnął się smutno.

— Cóż z tego? Ojciec Święty się za nich gorąco modli, a jeśli nawet wskutek tego nie poszli do nieba, to widzę, że alianci niebo otwierają na ziemi wszystkim szkopom, którzy w wielkiej ilości na niej pozostali.

Chcąc pocieszyć przyjaciela, przypomniałem jedno piękne powiedzonko z wypisów szkolnych mojej córeczki:

— Uszy do góry, Czyżyk, bo ci zmarzną: „niech żywi nie tracą nadziei!"

Nie przekonało to Czyżyka, bo mruknął niezadowolony:

— Hm, hm, a wiesz, ty frajerze, czyją matką jest nadzieja?

Rys. Jan Linka

— Pukaj mocniej, bo może nikogo niema w domu!

Rys. Jan Linka

— Ten obraz już sprzedałem!
— Przecież na nim nic nie namalowałeś.
— Właśnie dlatego sprzedałem!

Rys. Jan Linka

— Chciałbym zamienić moją czarną perukę na siwą. Ostatnio miałem dużo zmartwień.

„Kto dba o interes Grecji, nie powinien się mieszać w tej sprawy"

(Z ostatniej mowy Bevina)

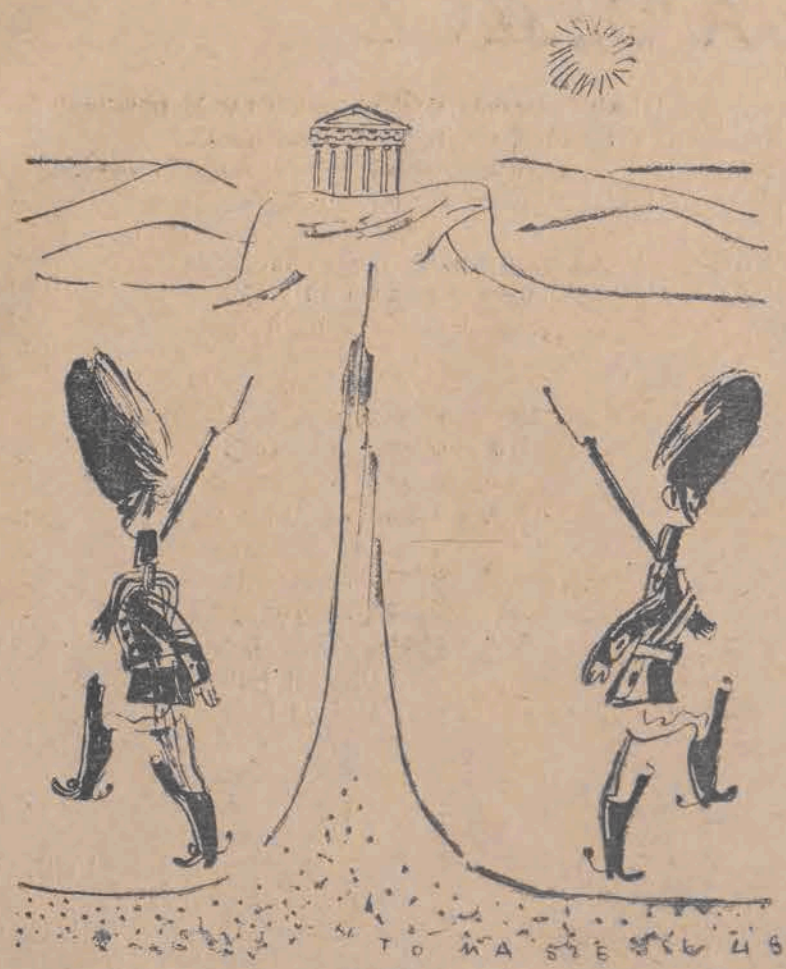

Rys. Henryk Tomaszewski

Kto dba o interes Grecji?

TADEUSZ ŚMIELIŃSKI

PSLewy bez ziarna

Nie mogę połapać się zgoła
W tym dziwnym patriotyźmie,
Co razem warcholi i woła
O Polsce i o Ojczyźnie.

Na nutę to hymnu, to ody
Powtarza, że... nie zginęła,
Pod nogi zaś wali jej kłody,
By się Ojczyzna potknęła.

Gdy hasło „Wspólnymi siłami"
Tak szumnie zdobi ich fronton,
Dlaczego to zaraz za drzwiami
Na własne czyni się konto?

Ojczyzny (a jakże!) dziś losy,
Na barkach chcą „dźwigać z czeluści",
By potem ją skubać za włosy,
Lub z hukiem na ziemię upuścić!!

Gdy słyszę te krzyki dokoła
O Polsce i o Ojczyźnie —
Nie mogę połapać się zgoła
W tym dziwnym patriotyźmie!

STEFAN STEFAŃSKI

OKO

Obywatelka Pelagia Maciejko spojrzała raptem na męża, zbladła i wykrzyknęła:

— Poldziu, a bilet?

— Mam mruknął Poldzio — mam, dziesiąty raz pytasz...

— Chciałam się tylko upewnić — zaszczebiotała słodko. — Żebyś potem kłopotów nie miał. Walizki poukładałeś?

— Poukładałem. Przecież widzisz, że ich w ręku nie trzymam!

— No, tak, ale zawsze lepiej sprawdzić. Zawiąż sobie supeł na krawacie...

— Wiem, wiem — rzekł zirytowany Poldzio. — Napisać jak przyjadę, oddać szarlotkę cioci Meli, pozdrowić Malaniczową...

— Bardzo dobrze — pochwaliła obywatelka Maciejko — A szalik owiń koło szyi i uważaj! W pociągu jest dużo podejrzanych typków, na których trzeba mieć oko.

Pociąg ruszył. Poldzio ścisnął w ręku bilet, policzył wzrokiem walizki, wzmocnił supeł na krawacie owinął szalik koło szyi i rozejrzał się po przedziale. Pasażerów wyjątkowo było niewielu.

— No, ten od okna — pomyślał Poldzio — to w porządku: ksiądz Ta pani — hm, palce lizać. Pirsza klasa, chociaż jedzie trzecią. Pasażer w binoklach — napewno ktoś solidny. Może nauczyciel. Ten młodzieniec koło mnie — odrazu widać, że z dobrego domu...

Spojrzenie Maciejki padło nagle na tęgiego faceta, drzemiącego przy drzwiach. Zmarszczył brwi. Facet wzbudził w nim nieufność i przypomniał ostrzeżenie żony o podejrzanych typkach, na których trzeba mieć oko.

Być może, grubas odczuł badawczy wzrok Maciejki, gdyż nagle otworzył oczy. Ziewnął, przeciągnął się, aż jesionka zatrzeszczała w ramionach, rozglądnął się po towarzyszach podróży i huknął tubalnie na cały przedział:

— Ej, nudy, cholerne nudy, nieprawdaż, proszę państwa?

W odpowiedzi ksiądz zanurzył nos w brewiarz, dama wzruszyła ramionami, solidny pan poprawił binokle, a Maciejko zdrętwiał od najgorszych podejrzeń. Milczenie jednak nie zdetonowało otyłego osobnika

— Zdałaby się jakaś godziwa rozrywka — ciągnął. — Tyle godzin jazdy przed nami. Mam karty. Możeby w oko, co?

Nikt z pasażerów nie podjął atrakcyjnej propozycji. Grubas uśmiechnął się ironicznie i — zaczepił bezpośrednio miłego młodziana, siedzącego obok Maciejki:

— No, a pan, młody człowieku? — rzucił cynicznie. — W pańskim wieku powinno się lubić karcioszki. Zrobimy partyjkę, hę?

Maciejko kopnął ostrzegawczo młodzieńca, ale to niewiele pomogło: chłopak był dobrze wychowany i nie umiał widać odmówić. Ku zgorszeniu księdza (zakrył oczy brewiarzem), damy (pisnęła: skandal!), solidnego pana (przetarł nerwowo binokle), a przedewszystkiem męża obywatelki Pelagii, który nie przestawał dawać chłopakowi sygnałów przy pomocy kuksańców, uszczypnięć i szeptów na ucho: uwaga, to szuler — partia wnet doszła do skutku. Młodzian z dobrego domu siadł naprzeciwko podejrzanego faceta i zaczął — przegrywać. Przed grubasem rosła góra pieniędzy.

— Dosyć tego! — wrzasnął w pewnej chwili podniecony Maciejko. — To rozbój! Wstyd i hańba!

— Tak, tak — potwierdzili chórem pasażerowie. — Nie możemy dłużej patrzeć na krzywdę dziecka: oddaj pan pieniądze i już!

Ale oburzenie zgasło, gdy drab wyprostował swą potężną postać i zapytał groźnie: co takiego? Ej, język za zębami! — umilkli tedy, urażeni zresztą na młodzieńca, nie zdradzającego chęci do zaprzestania gry. Jeden Poldzio dyszał zemstą.

— Czekaj, byku! — mruczał do siebie. — Tylko dojedziemy do jakiej większej stacji!

Jakoż na większej stacji nastąpiła awantura. Maciejko, ksiądz, dama i solidny pan wybiegli pędem z przedziału po milicję.

— Tak i tak — tłumaczyli posterunkowemu. — Mamy oko na jednego co grał w oko! Szuler!

— Szuler? — rzekł surowo policjant. — Proszę bardzo! Gdzie?

Nim odpowiedzieli, dał się słyszeć daleki krzyk:

— Milicja! Na pomoc! Milicja! — i z pociągu wybiegł znajomy otyły facet.

— Gonić — ryczał — taki młody w jasnym płaszczu! Uciekł 5 minut temu! Gdy wszyscy wyszli, wstał, wyjął rewolwer i powiedział: no, a teraz, bratku, dosyć tej zabawy, dawaj forsę, bo kulą w łeb! Żałował jeszcze, że tylko ja jeden w przedziale zostałem!

Rys. Zbigniew Kiulin

— Może wstąpimy na kieliszek?
— Nie mogę: muszę koniecznie być pojutrze w domu!

Rys. Jan Lenica

Rysunek bez podpisu

Rys. Regina Kańska

— Nie, pieśku, dziękuję. Ja jestem z Towarzystwa „Trzeźwości".

ZYGMUNT FIJAS

Ilustrowała REGINA KAŃSKA

OPOWIADANIE NA DESZCZ

Posępna płucha jesienna obsiadła Plucin , Pikutków i, zdaje się, resztę naszego układu galaktycznego. Chmury pijane dżdżem zataczały się po nieboskłonie jak bele. Wrony darły się jak stare portiery. W powietrzu rozległy się gwizdy, wrzaski, szuszczenia itd. itd.

W taki czas wlokły się po pustkowiu dwa Fordy. Były to przestarzałe typy o kołach wykrzywionych jak łapy jamników, to też nic dziwnego, że w pewnej chwili oba wozy nadziały się na grzbiet pochylonej wierzby i że w pudle rozległ się głos zakatarzonego człowieka: — Samochody, jak z niemieckiego demobilu, ciemność, że oko wykol., Pogoda, deszcz wszystko w sam raz na lekkie skonanie.

Niebawem w drzwiach wozu pokazała się morderczo suta peleryna, spod peleryny wysunęła się noga odziana w gumowy but — a gdy wiatr wywinął parasol, wówczas w okolicach buta ukazała się twarz nabita cielskiem mściwie jak baleron.

— Parzy mnie ta cała sprawa jak koszula Dejaniry — powiedziała wesoło gęba. — Ciemność jest, tym lepiej będziemy w cieniu walczyli.

— Dosyć, dosyć, cha, cha, cha— zaśmiał się pasażer drugiego wozu — ciekawym czy deszcz pada. Upewniwszy się , że pada, drugi człowiek wystawił rękę jeszcze raz i pokazał swą twarz położoną na kołnierzyku z taką samą fantazją, z jaką była położona na półmisku wielkanocna głowizna. Następnie złożył parasol, powiedział bardzo głośno: dosyć, dosyć! i zmierzył się znienacka.

Kilka kwint, dwie tercje, jeden mistrzowski młynek, jedno pośliznięcie, dwa upadki i nagle oba parasole złamały się we wściekłym złożeniu.

— Będziemy przeto walczyli na broń białą — rzekł pan A., wypluwając z ust kawałek gliny.

— Mogę nawet na czarną, na gazową, na wszystkie gatunki. I tak rozłożę pana, jak stary materac i będę deptał zawartość pańskiej skóry, jak worek gnoju!

— Co pan powiedział? Może pan zechce tę obelgę powtórzyć?

— Powiedziałem to, co mi się podobało. Wystarczy dla takiego ćwierć inteligenta!

— Co pan mówi?

— To co pan słyszy!

Panowie dostąpili do siebie na odległość nosa. Poczęli się hypnotyzować wreszcie wyrzucili z kufrów mnóstwo broni. Przez chwilę panowała w przyrodzie śmiertelna cisza, druty telefoniczne tylko łkały wraz z rynnami. Po chwili panowie przystąpili do kopania grobu. Po wykopaniu ostatniego pomieszczenia dla siebie, panowie, oparli swe ręce na styliskach łopat.

— I powiedz pan właściwie, panie B. — rzekł pan A. — powiedz pan, czy warto panu tak moknąć? Zgaśniesz pan poprostu jak nędzna świeczka za pięć złotych i spoczniesz w tym wygrzebanym dołku. I to kto! Pan, który winieneś zginąć naturalną śmiercią z przejedzenia albo z powodu połknięcia ości.

— Jeśli ja z powodu połknięcia ości, to pan z powodu uduszenia przez oprawcę! Ale co ja mówię? Pana nie warto nawet dusić jak grzyba. Pana powinna albo krowa przebość albo wielbłąd kopnąć w śledzionę.

— Sprawa mych zalet należy do mnie. Pan lepiej uczyni,jeśli zdobędzie się na umiejętność doglądania swej spółdzielni małżeńskiej, która już tyle razy głosiła upadłość, że napewno grozi jej upaństwowienie.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— To, co mi się podoba.

—Panie, ja pana dzisiaj rozłożę na części składowe, oświadczam panu! Nie opłaci się pana zbierać z powrotem! Wąsy pańskiego zezwłoku będą służyły za szczotkę do moich bamboszy!

— A pan wie, co pan jest za jeden? Pan jest nic innego, tylko ni mniej ni więcej tyfuśnik!

Pan A. zaniemówił. (Słowo „tyfuśnik" było uważane w Pikutkowie za śmiertelną obrazę od czasu kiedy burmistrz miasta, Sylwester Tyfuśnik, podał się za folksdojcza, rzekomo dla celów konspiracyjnych i potem wysadził się w powietrze wraz z żoną i składem podziemnego mydła).

— Co pan powiedział? Niechaj pan to cofnie, upraszam!

— Upraszaj pan zakład pogrzebowy, panie tyfuśnik. Wypluj pan najpierw to, co sam powiedziałeś.

— Milcz pan!

— Pan milcz!

— Milcz!

Panowie podnieśli narzędzia, aby się zabić.

Ponieważ niehumanitarną rzeczą jest zabijać się z kroku, przeto panowie poczęli się cofać, ponieważ zaś trudno być równocześnie przytomnym humanitarystą i pijanym pojedynkowiczem, przeto panowie zagubili się, w dżdżu. Byliby się może cofali przez cały glob, aby po latach zderzyć się gdzieś w Zgierzu, Syjamie, czy na Ziemiach Odzyskanych, gdyby nie intuicja ożywiająca nogi w czasie trudnym dla reszty ciała.

Więc o głębokiej północy pan B. dotarł wreszcie do celu.

Szermierz zażądał poczwórnie siarczystej z pieprzem, na to ciepłego podgardla, poczem poprosił o jałowcówkę z westchnieniem. Nie wesołe bowiem były jego myśli, nie.

— Chciałem sobie wymierzyć satysfakcję — mówił w myślach — niestety nie zamierzałem bliźniego zostawić na dnie rzeki. Kto wie czy ciało sąsiada nie żegluje już do Gdańska.

Zabłąkany uderzył pięścią w stół.

— Karczmarzu, czy w czasie takiej chłapy człowiek stoi przed ewentualnością zatonięcia?

— A czemu nie? Jeśli człowiek nie umie pływać, dno zawsze stoi przed nim otworem. Dopiero przedwczoraj utonął jeden taki. Tośmy go ciągnęli, tośmy huśtali, nie dał znaku. Bili go nawet po karku, odwracali głową na dół, nie dał.

— To pan zabieraj bosak i latarnię!

W tej chwili przed karczmą stanął drugi szermierz. Na widok światła omal nie popłakał się ze wzruszenia. Z radości nawet nie uląkł się psa,który go nie chciał puścić za ogrodzenie. Śmiało odpędził go płazem szabli.

— Nie godzien jestem rozwiązać rzemyka u własnego obuwia rzekł.

W karczmiejednak nacisnął silnie kapelusz.

— Dobry człowieku — powiedział do oberżysty — co macie ciepłego?

— A co pan uważa?

— Przedniej jałowcówki, podgardla, ponczu, no poczwórnie siarczystej, no — tu spojrzał z pod oka na przeciwnika. A pan co pije?

— Także „pikutkówkę".

— Tylko bosakiem wyciągnąc pana z tego bezrozumnego gniewu, panie śmieszny. W górę serca!

— Mało boków człek nie zerwie. W górę dusze!

— A więc odwołuje pan to, co powiedziałeś?

— Ja powiedziałem?

— Tak, pan powiedziałeś. Powiedziałeś, że ciało mojej żony przypomina panu nieświeży klops; porównałeś jej rumieńce do dwu przypieczonych plasterków cebuli; rozsiewałeś pogłoski jakoby moja żona zamierzała wystąpić na scenie pikutkowskiej w roli wesołej wdówki; kazałeś swoim dzieciom nazywać mnie „Ciasnymi butami"...

— A pan wmawiałeś w mą córkę nienaturalną skłonność do wysokich progów. Przysięgałeś wobec nędznych druciarzy, że niegodny jestem, aby mnie zabito konewką pomyj... Pan takie bydlę, panie! Ja z pana zrobię purec dla mej trzody chlewnej. Pańska niegodna żona...

— Milcz pan!

— Pan milcz!

— Milcz!

— Ty!....

Dobrze, będę milczał. A co to? Dobrze! Hallo, człowiecze, daleko stąd do rozstaja?

— Do szubienicy półtora kilometra, do cmentarza ze dwa. A czy zabrać ze sobą garnuszek z gorącą „pikutkówką"?

— Zabieraj latarnię i milcz, jeśli cię życie nie mierzi.

— Bardzo łatwo możesz życie stracić, jeśli cię szyja świerzbi — powiedział drugi szermierz.

Przy wozie znowu panowie stanęli na odległość nosa.

— Zginiesz nędznie, jak ślimak, ty pikutkowskie bydlę!

— Ty zginiesz, nędznie, ty pikutkowska pokrako, łamana przez pikutkowską skrabakę!

— Ponieważ niehumanitarną rzeczą jest zabijać się z kroku, przeto panowie jęli się cofać! byliby może cofali się przez cały glob itd. it.d.

Podróżny, gdybyś kiedykolwiek zabłąkał się w okolice Pikutkowa, wołaj do chmur, aby rozeszły się precz. Wichura bowiem gra na rozprutych dętkach, jak góral na kobzie, rzępoli po drutach jak na starej basetli, rynny rzygają strumieniam i deszczówki i pozatem panowie gotowi kłócić się w nieskończoność tej chłapy. Chłapy, która otwiera oczy śpiącym, zamyka nie mogącym zasnąć, obsiada Plucin, Pikutków, szuści w szybach, sitach młynów, bulgoce w rynnie ochrypłej.

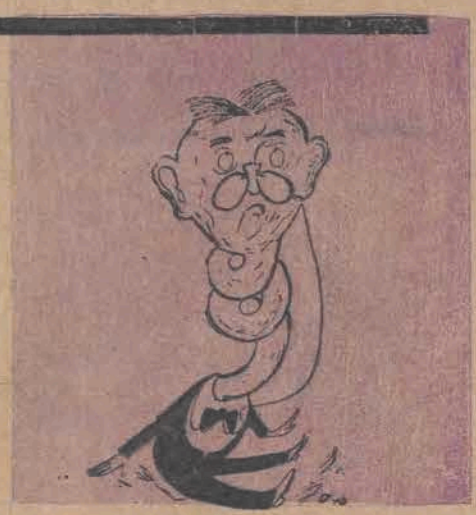

Rys. Ignacy Witz

Cierpliwości! — bowiem
— życie stopniowo ci wyjaśni,
Choćbyś jak Syzyf był uparty,
Że łeb najłatwiej skręcić
właśnie
Przy wywalaniu drzwi
otwartych...

z Eryka Kaestnera
tłum. Jerzy Pomianowski

KAROL KOWALSKI

Pan Ciemniak

— Dawno pan tutaj, panie Ciemniak?
— Przyszedłem tutaj wprost z kawiarni.
Zaraz podadzą mi wódeczkę
I przyzwoity sznycel garnil

— I to jest cała pańska praca?
Tym pan wypełnia swoje życie?
Kawiarnia, knajpka, znów kawiarnia..:
Czyż można życie ująć płyciej?!

— O, ja przepraszam! Ja pracuję!
W kawiarni zbyłem trochę złota,
A tutaj zaraz przyjdzie jeden,
Z którym pogadam o banknotach..:

Pan mnie rozumie? O dolarach..:
Ktoś tam chce kupić cały tysiąc.
Pewnie wyjeżdża za granicę,
Albo w y c h o d z i..: Trudno przysiąc!

— I pan się takich interesów
Robić nie wstydzi, panie Ciemniak?
No, teraz widzę, jaki z pana
Cwany gagatek i przyjemniak!

To jeden orze w pocie czoła,
Gotów nad siły swe pracować
Byle Ojczyźnie się przysłużyć,
Byle Ojczyznę odbudować.

A pan beztrosko goli wódę,
Beztrosko wcina w piątek sznycel,
I żyje z kantu i szacherki!
Pan jest po prostu zwykły hycel!!

Nagle mój Ciemniak poczerwieniał,
Wrzasnął: — Dotknięty tym się czuję!
Bo ja,mój panie, także Polskę
Bez potu, lecz odbudowuję!

— Pan? — krzyczę z gniewem — Ty nierobie...
A Ciemniak: — Daj pan rzeknąć słowo!
MY przecież chcemy odbudować
Polskę tę naszą — przedwrześniową!.::

DELEGAT AUSTRALII DR. EVATT WYSTĄPIŁ W ONZ PRZECIW PRAWU VETA

Rys. Kazimierz Grus

Pr-Evatt-na inicjatywa

13 października. Nadszedł wreszcie i mój dzień. Patrzę i oczom swoim nie wierzę. Przed moimi oknami przechadza się tam i spowrotem wysoki, przystojny brunet, z głębokimi czarnymi oczami. Wąsy — wspaniałe! Chodzi już

piąty dzień. Od wczesnego ranka do późnej nocy i wciąż na nasze okna spogląda. Udaję, że nie zwracam uwagi.

15-go. Dzisiaj z samego rana ulewa, a on, biedaczek, chodzi. W nagrodę zrobiłam do niego oczko i posłałam mu ręką pocałunek. Odpowiedział zabójczym uśmiechem. Kim on jest? Siostra Waria mówi, że jest w niej zakochany i dla niej moknie na deszczu. Jaka ona dziecinna! Czyż brunet może kochać brunetkę? Mama kazała nam ładniej się ubierać i siedzieć przy oknach. „Może być, że to złodziej jakiś, a może i przyzwoity pan" — powiedziała.
Złodziej?!!! Głupiaś ty, mamo!

16-go. Waria mówi, że ja jej życie zatruwam. Ja jestem winna, że on kocha mnie, a nie ją. Przypadkowo opuściłam mu na trotuar karteczkę. O, obłudnik! Napisał kredą na swoim rękawie: „Później". A potem chodził, chodził i napisał na bramie: „Nie mam nic przeciwko temu, ale później". Napisał kredą i szybko starł. Czemu się tak serce tłucze?

17-go. Waria uderzyła mnie łokciem o pierś. Podła, ohydna zazdrośnica. Dzisiaj zatrzymał policjanta i długo coś mu tłumaczył, pokazując na nasze okna. Intrygę knuje! Przekupuje chyba.... Tyrani i despoci z was mężczyźni ale jakże jesteście przebiegli i wspaniali!

18-go. Dziś w nocy po długiej nieobecności przyjechał brat Sierioża. Ledwo się położył do łóżka, a już zawezwali go do komisariatu.

19-go. Gadzina! Ohyda! Okazuje się, że on przez te dwanaście dni śledził brata Seriożę, który zdefraudował czyjeś tam pieniądze i ukrył się

Dzisiaj napisał na bramie: „Jestem wolny i mogę". Bydlę! Pokazałam mu język.

Tłum. B. Sztaller
Ilustr. Wł. Daszewski

WŁADYSŁAW SMÓLSKI

Nagrobki

SZABROWNIKOWI.

Szabrował: Odzież, złoto, srebro, porcelanę,
Żywność, węgiel, maszyny, Unrrę, fortepiany.
Dziś go za grzeszny żywot gniecie grobu brzemię.
Wierzcie, że gdyby nie był martwy, kradłby ziemię...

GESZEFCIARZOWI.

Przechodniu! Uchyl głowę przed świeżą mogiłą,
Jakich to się geszeftów w życiu nie robiło.
Skończyło się. Dziś w grobie leży grzeszne ciało:
Śmierci... mu się łapówką przekupić nie dało.

ETIENNE

AMELCIA

Małżeństwo Pawła Pronaszki wzbudziło wielką sensację wśród jego znajomych i przyjaciół. Mówiono:

— Nie, to niemożliwe.

Albo:

— Co-o? Ten lowelas się ożenił? Plotka!

Lub:

— Pronaszko zwariował!

Wreszcie:

— Znalazł-że więc Pawełek kobietę, która zrobiła na nim takie wrażenie?

Tak. Amelia Pypeć zrobiła na Pronaszce takie wrażenie. Być może, podobne przymiotniki są diablo wyświechtane i wzbudzają ironiczne uśmiechy, ale właśnie Amelia była i naiwna i niewinna.

— Oto dziewczyna dla mnie! — pomyślał w parę dni po poznaniu Pypeciówny donżuan Pronaszko. — Ani be, ani me, ani kukuryku. Do trzech zliczyć nie potrafi. Nie w głowie jej flirt, kokieteria, moda i te de. Ożenię się z nią i będę kształtował jej duszę!

Ożenił się, ale kształtowanie „duszy" nie przychodziło mu z łatwością. I naiwna i niewinna Amelia stawiała opór, gdy chodziło o pójście do fryzjera, krawcowej czy modystki.

— Pocóż to wsysko? — sepleniła rozkosznie — kiedy ja ciebie kocham bez kapelusza i manikure?

Pawełek był ogromnie wruszony, tym niemniej ze łzą rozczulenia w oku przekonywał żonę, że fryzjer, krawcowa czy modystka są tylko dla jej dobra.

— Ano — wzdychała melancholijnie — chyba że dla dobra. Jak dla dobra — to dla dobra. Dobra nasa.

Przekształciwszy powierzchowność swojej Galatei na t. zw. damską z dobrego towarzystwa, oszczędzał jej narazie towarzystwa swych znajomych i przyjaciół.

— Amelciu — mówił — aniele czysty, to rozpustnicy.

Amelia kiwała zaondulowaną główką w pobożnym zgorszeniu:

— O, jak rozpustnicy — to fe! Mama ucyła, zeby takowych stsec się, jak satana.

Któregoś dnia Pronaszko, przyzwyczajony od długich lat kawalerskich do bywania w — jak się to mówi — lokalach, postanowił pójść z żoną do knajpy.

— Amelciu — oświadczył — jesteś już reprezentacyjna, mogę się z tobą pokazać, rach ciach, idziemy do „Wędzonego Pawiana".

Ku największemu jednak rozrzewnieniu Pawełka Amelia „stanęła dęba":

— O, co to — to nie. Wstydzę się i wogóle, coby powiedział mój skolny prefekt nieboscyk. Nie chcę do „Wędzonego Pawiana".

Siła perswazji kosztowało Pronaszkę doprowadzenie żony do tego, by zarumieniona wykrztusiła: tylko z tobą i dla ciebie, owsem, pójdę.

W bocznej salce „lokalu" podszedł do nich z uśmiechem starszy kelner.

— Padam do nóżek! Kupę lat szampana nie oglądaliśmy!

I mrugnął znacząco w stronę Amelci. Amelcia oblała się natychmiast przy pomocy szkarłatnego rumieńca. Pronaszko spojrzał na nią z zachwytem, poczem wstał od stolika i odwołał kelnera na stronę:

— A co — rzekł zadowolony — widział pan coś podobnego panie Januszu? Wstydliwa nad podziw!

— Wiem, wiem — pochylił się w ukłonie kelner. — To tak, proszę pana, na początek...

— Jakto — na początek?

— Ano, tak, bo potem się rozkrochmali po pierwszym półlitrzę i na głowie chodzić będzie.

— Roz-kroch-mali? Na głowie? Pan chyba zidiociał?

Kelner wzruszył ramionami.

— E, — rzekł konfidencjonalnie — pan zapewne pierwszy raz, ale my tu dobrze znamy Amelkę Pypeć. Nieraz z facetami do gabinetu u nas chodziła.

PREMIER SIDKY PASZA DAREMNIE DOMAGA SIĘ OD ANGLII UZNANIA POSTULATÓW EGIPTU

Rys. Henryk Tomaszewski

City Sidky'ego nie rozumie

ADAM BIEŃKOWSKI

Bycza historia

Z takiego Tartanusa, Przyrzyckiego, Szweda czy Laski gospodarze, owszem, całą gębą, na morgach leżą, plon zbierają, a z tego dobrze żyją, że miastu świadczą. Ale weźmy np. obywatela Owczarka. On jeden w całym Bełchowie gruntu nie ma, na komornem siedzi, plonu nie zbiera, miastu nie świadczy, a jednak żyje i to wcale nie źle.

Sprawa Owczarka wyszła na wierzch z okazji wymiaru podatku gruntowego. Tartanus, Parzycki, Szwed, Michalak i Laska byli akurat w gminie, gdy przyjechał inspektor skarbowy.

— Tak i tak — rzekli chórem — panie inspektorze, a nie szkodziłoby wlepić podatek Owczarkowi Zygmuntowi.

Inspektor zajrzał do wykazu i pokręcił głowę.

— Nie da rady — westchnął. Chciałaby dusza, ale podstawy brak. Ze spisu wynika, że Owczarek gruntu nie posiada.

Swięte słowa — przytaknęli zgodnie gospodarze. — Gruntu nie posiada, ale przemysłem się trudni.

— A, a — ucieszył się inspektor — to inna para kaloszy. Przemysłowy podatek można. Zresztą sam do Owczarka pojadę i zobaczę.

Owczarek mieszkał na końcu wsi. Akurat był w chałupie.

— Tak i tak oświadczył inspektor.— Mam informacje, że się, obywatelu, przemysłem paracie. Prawda — li to czy nie?

Nim Owczarek zdążył odpowiedzieć, wyręczyła go gospodyni, u której mieszkał:

— To pewnie — rzekła domyślnie — chodzi o byka. Owczarek ma bardzo przemyślnego byka.

— Jakto? — zdziwił się inspektor.

Ano, krowy do niego z paru powiatów sprowadzają, a dla byka to kaszka z mlekiem. Od świtu do nocy haruje, a Owczarek tylko pieniążki od każdego romansu zgarnia.

— Ach, tak — gwizdął przez zęby inspektor. — Ha, to niedobrze. Byk nie zameldowany jako zakład pracy, licencji na pokrywanie też zapewne nie ma, do Ubezpieczalni oczywiście, niezgłoszony, a dochody z jego działalności zaraz obliczymy...

Nie podobna jednak było obliczyć. Palców u rąk i nóg Owczarkowi, gospodyni i jej dzieciom nie starczyło. Nawet w przybliżeniu byczej roboty określić nie potrafili.

Zniechęcony inspektor machnął ręką.

— No — powiedział — przeszłość, widzę trzeba darować, ale od dnia dzisiejszego, obywatelu Owczarek, praca byka musi być dokładnie kontrolowana i re-je-strowa-na. Rozumiecie, dla celów urzędowych. Ja po pewnym czasie przyjadę i sprawdzę.

Gdy inspektor po upływie kwartału zajrzał do Bełchowa i zajechał do Owczarka, uderzyła go ponura mina chłopa.

— O — krzyknął inspektor — napewno nie liczyliście!

Owczarek wzruszył ramionami.

— Nie było czego liczyć — stwierdził zimno. — Ani razu.

— Co takiego? Przez kwartał? Dlaczego?

— Ano, jak byk się dowiedział, że jest urzędnikiem, to przestał zupełnie pracować.

STANISŁAW SOJECKI

LIST PASTERSKI

Wszystko mi dałeś, co dać mogłeś, Panie,
Niczego nadto już nie śmiałbym chcieć;
Gdy na codziennych spojrzę łask różaniec,
Wiem, że to więcej niż brzęcząca miedź.

Przeto, gdy przyjdzie tygodnia dzień siódmy,
Spieszę najszybciej, abym zdążyć mógł
Do domu z wieżą, dziś pełnego ludźmi,
Dłużnik — zapłacić zaciągnięty dług.

Dobrze mi tutaj w tym szarym pół-mroku,
Gdzie się odbywa ów nierówny targ:
Dług, co przekracza kapitał obrotu,
Spłaca się jednym cichym szeptem warg

Ale ostatniej, niestety, niedzieli,
Kiedym dziękczynnych szukał w myśli zdań
Ktoś mi rozmowę przerwał z Wierzycielem,
Jakby mnie ścisnął palcami za krtań.

Sprawy, od których uciekłem z ulicy,
Słyszę, aż w uszach głuchy zawył szum:
Fałszywym dźwiękiem idzie z kazalnicy
Zgiełk politycznej wrzawy ponad tłum.

Na malowanym w święte wzory tynku
Niejedna męczy w uśmiechu się twarz,
Jakby się nagle znalazła na rynku
Pośród przekupniów w targowania czas.

Głosy, wybory, mandaty i posły,
Jakieś pojęcia obce ścianom tym!
Cud, że się owe ściany nie rozniosły
Jak mury karczmy, co się zwała Rzym

Wyszedłem chwiejny i z gorącą głową,
A w mózgu szumi mi protestu świst:
Kościół nie może być skrzynką pocztową.
Choćby to nawet był pasterski list!

STEFAN CISZEWSKI

Nieznana ulica

Mimo, iż podróż t. zw. P. K. P. jest coraz wygodniejsza (miejscówki, wagony sypialne) wielu obywateli pasażerów przedkłada nad nią trakcję motorową t. zw. P. K. S.

— Pojadę autobusem — postanowił właśnie Hieronim Wielądek, wsiadając do budy ciężarowej przed b. Dworcem Głównym w Warszawie. — Prędzej będę w Łodzi.

Złudzenia — jak to się mówi — są ozdobą życia, to też Wielądkowi zrobiło się b. przykro, gdy go buda P. K. S. odstawiła zaledwie do Łowicza.

— Wypadki — powiedział szofer w pięknej czapce niemieckiego kroju — chodzą po maszynach. Motor nawalił. Musicie państwo zaczekać na następny autobus. Zaznaczam że postój w tym oto katedralnym mieście nie jest przykry, ponieważ knajpki są tu, he he, he, palce lizać...

Nie byłby Wielądek szczerym sarmatą, gdyby z informacji powyższej nie skorzystał. Nie on jeden. Stąd w „Łowiczance" zrobił się fatalny tłok. Ani jednego wolnego miejsca. Akurat Wielądek kierował się do wyjścia, gdy otyły, elegancki pan, siedzący przy stoliku pod oknem, zrobił w jego stronę gest zapraszający.

— Proszę bardzo — rzekł uprzejmie. — Niech pan się przysiądzie.

— Wielądek jestem.

— Pitułaj.

— Cóż to pan ma taką kwaśną minę?

— Bo właśnie nie wiem co robić. — Chciałbym jak najszybciej dojechać do Łodzi.

— Do Łodzi? Zabiorę pana swoim wozem.

W czasie jazdy okazało się, że uprzejmy obywatel Pitułaj jest dyrektorem Centralnego Zjednoczenia Zakładów Folowania Teluzy, Lamuzy i Celulozy i wraca z podróży służbowej do Warszawy. Jak się rzekło — był to gentleman grzeczny do przesady.

— Podwiozę pana na miejsce — ofiarował Wielądkowi — tylko proszę podać ulicę.

— Andaszka.

— Andaszka? — zdziwił się dyrektor. — Doprawdy nie znam, ale to nic, szofer napewno będzie wiedział.

Szofer jednakże nie wiedział. Co gorsze pokiwał głową i stwierdził, że takiej ulicy nie ma w ogóle w Łodzi.

— Ale jakże — gorączkował się Wielądek. — Ten adres podała mi znajoma, którą mam odwiedzić.

— Spokojnie, spokojnie — mitygował go Pitułaj. — Zapytamy milicjantów, napewno będą wiedzieli.

Żaden atoli z milicjantów nie wiedział, jeden z nich przypominał sobie niejasno, że to, zdaje się, w Pabianicach lub Zgierzu.

— Mamy czas — mruknął grzeczny do przesady dyrektor. — Pojedziemy do Pabianic i Zgierza.

Ponieważ w Pabianicach i Zgierzu udzielono im informacji, że ulica Andaszka znajduje się w Zduńskiej Woli, Andrzejowie, Konstantynowie albo Lućmierzu — auto dyrektorskie objechało parę miejscowości. Późno już było, gdy wrócili do Łodzi. Dyrektor zły, Wielądek zmartwiony.

— Dziękuję bardzo — rzekł do Pitułaja. Więcej mi pan pomóc nie może. Wysiądę i wrócę do Warszawy.

* * *

Około dziesiątej w nocy Pitułaj, który miał bezpośrednio po przyjeździe konferencję w swojej Centrali, wracał zmęczony do mieszkania.

Wszedł do przedpokoju i...

— Pan tutaj? — krzyknął ze zdziwieniem widząc Wielądka w towarzystwie swojej szwagierki.

— A tak — wyręczyła Wielądka w odpowiedzi. — Hieronim to mój kolega uniwersytecki. Pisał, że ma załatwić w Łodzi parę spraw, więc prosiłam, aby się u nas zatrzymał. Myślałam, że przyjedzie koleją, więc wyszłam po niego na stację, a on przyszedł właśnie pieszo z... Łodzi.

— A — bąknął Pitułaj — a... ulica Andaszka?

— To nasza ulica — rzekła szwagierka. — Przemianowali w czasie twojej nieobecności.

Dyrektor oparł się o wieszak!

— Psiakrew! — jęknął. — Na parę dni nie można z tego naszego miasta wyjechać, żeby czegoś nie zmienili. Niedługo człowiek do swego domu nie trafi!

JAN CZARNY

FRASZKI

DYPLOMATOM

To mi się dziwne wydaje trochę,
łajkę pokoju nabijać prochem...

FRASZKA SOCJOLOGICZNA

Są jeszcze u nas jednostki uparte,
co wolą z kart żyć, aniżeli z kartek...

DO PANI W FUTRZE

— Czy to zgodnie z etyką, niech mi pani powie,
ściągać dla jednej owcy skórę z tylu owiec?...

PYTANIE

Trudno mi odgadnąć, co pani w nim ceni,
czy srebro na skroniach, czy złoto w kieszeni?

W RODZINIE BORGIÓW

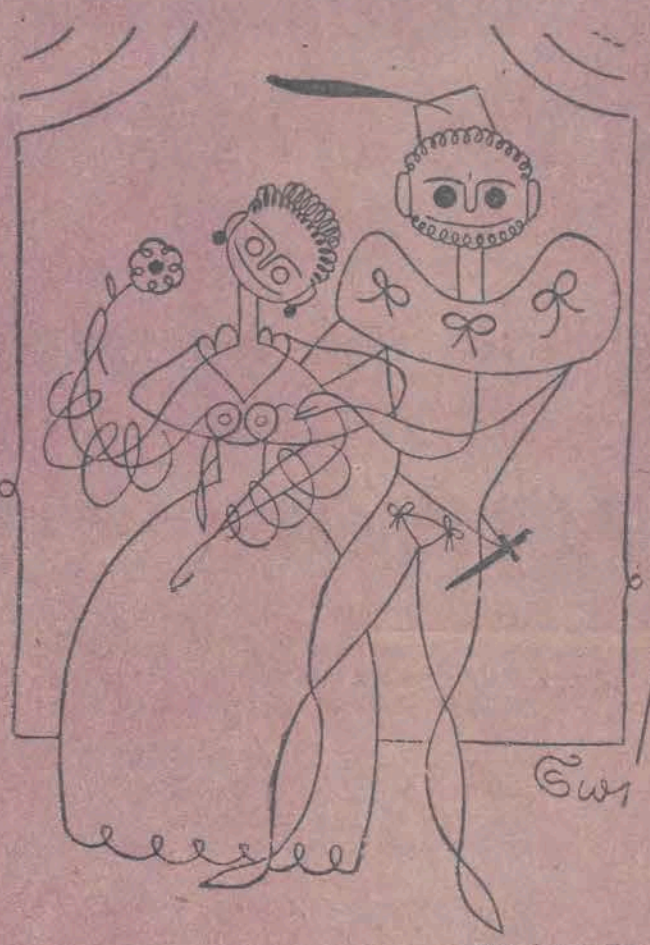

Rys. Artur Maria Swinarski

— Siostro moja rodzona, Lukrecjo, kocham cię i pożądam!

— No, dobrze, Cezarze, ale co na to powie nasz ojciec i mój kochanek papież?

PANIE REDAKTORZE

Jak Pan już pewnie zauważył, ja czytałem bardzo dużo gazet. I tak się akurat składa, że czytam gazety, jak mówi moja ciotka „zblokowane" (które sam sobie kupuję i inne, które kupuje moja ciotka. Nie potrzebuję chyba Panu Redaktorowi wyraźnie wymieniać jakie gazety ciotka kupuje.

Ale do rzeczy.

Otóż w tych wszystkich gazetach od czasu do czasu można przeczytać artykuł, czy tak zwaną wzmiankę w obronie ludzi, którym dzieje się krzywda. Bo jak by nie było — sam Pan dobrze wie, że niejeden obywatel w taki czy inny sposób bywa jeszcze krzywdzony. Że to niby w naszej maszynie jeszcze nie wszystkie kółka dobrze funkcjonują. No bo jak. Czas powojenny — a na raz Krakowa nie zbudowano.

Ja tylko tak ogólnie, bo mi o żaden konkretny wypadek skrzywdzenia w tej chwili nie chodzi, ale chodzi mi o to, dlaczego się nazywa tych, których się broni, tak jakoś dziwnie.

Ja przeczytałem w jednym tygodniu w trzech gazetach (różnych — jak powiada moja ciotka — odcieni) trzy razy: szary obywatel. Wszystkie trzy gazety pisały w obronie jakiegoś „szarego obywatela".

Zacząłem się nad tym zastanawiać, boć dotąd nie słyszałem aby się obywateli farbowało na jakieś kolory i nie mogłem dojść do żadnego wyniku. Aż ciotka, widząc moją smutną minę, spytała, czemu jestem taki zadumany.

Na to powiedziałem ciotce, że przeczytałem o „szarym obywatelu" i nie wiem o kim mowa i to mnie męczy.

A ciotka, powiadam panu, w podskoki.

— Tak piszą? — powiada. No to już wszystko na dobrej drodze.

Potem mi wytłomaczyła (bo ona zna i dawniejsze czasy), że przed wojną, za sanacji był taki „szary człowiek". Wszyscy się o nim rozpisywali; żeby stanąć do tego szarego człowieka" frontem, ale potem nic z tego nie wyszło.

Ja tam nie chcę przesadzać, czy z dzisiejszej obrony „szarego obywatela" wyjdzie wszystko na sto dwa, ale inna strona tego medalu mnie denerwuje:

Czemu my tak gwałtownie wracamy do „dawnych pojęć" (powiedzenie ciotki — ładnie się u niej wychowam).

„Szary człowiek" — „Szary obywatel".

Czy to u nas wszyscy obywatele nie są równi? Dlaczego jednych nazywać „szarymi" — a drugich, bo ja wiem — „niebieskimi, zielonymi", czy jak? Jakby tak mnie ktoś nazwał — tobym się obraził. I byłoby mi przykro.

I co dziwne — nawet gazety demokratyczne takiego słowa używają. Zastanówcie się, albo wymyślcie jakiś przyjemniejszy kolor. „Szary" taki jakiś poniżający Ponury. W Ameryce są biali i murzyni. I patrzcie, jaka przepaść. U nas niech wszyscy będą biali. I niech ciotka się nie cieszy, że wraca sanacja.

Ignaś Wójcik

Pewnego razu jeden z przyjaciół Johnsona prosił go o przeczytanie poematu „Dydona" Neida.

— Nie widzę powodu, dla którego wymagałeś ode mnie tego aktu pokuty — powiedział Johnson po przeczytaniu poematu. — Ale przyznam się, że z każdym wierszem, który odczytywałem, doznawałem uczucia ulgi.

— Dlaczego? — zapytał przyjaciel.

— Bo coraz bardziej zbliżałem się do końca!

Nieboszczka księżna Cumberland podróżowała przed kilku laty po kontynencie i zatrzymała się w pewnej oberży, położonej we Flandrii Francuskiej, która za wywieszkę miała „Złotą Gęś". Ponieważ przyjechała późno i była zmęczona, zamówiła bardzo lekką kolację dla siebie i dla swojej świty, która składała się tylko z pięciu osób. Zrana, kiedy oberżysta przedstawił rachunek, księżna przeraziła się, gdyż wynosił on przeszło czternaście ludwików. Napróżno starała się mu wytłumaczyć, hotelarz, znając szczodrobliwość księżny nie chciał nic opuścić. Trzeba mu było wreszcie zapłacić. W chwili odjazdu karczmarz wśród ukłonów wyraził nadzieję, iż nie ominie go zaszczyt ujrzeć księżnę za jej powrotem.

— Być może — powiedziała księżna tylko pod warunkiem, abyś mnie jegomość nie brał za swoją wywieszkę.

Rys. Zenon Wasilewski

— Jak się pani powodzi, panno Lodziu?
— Jestem podwójną buchalterką z pojedyńczą pensją i potrójną robotą.

Pewna dama podczas procesu udała się do sędziego, o którym jej powiedziano, że będzie rozstrzygał w jej sprawie. Przedstawiając mu stan rzeczy, pieściła jego kota. Ale w rozmowie dowiedziała się, że się omyliła. „Jakto, zawołała, to nie pan rozstrzyga? Pocóż ja pieściłam pańskiego kota?

Pewien dziekan nie obdarzony zbyt wielkim talentem kupił pewnego razu od jakiegoś literata kazanie i wygłosił je z dużym powodzeniem na katedrze. Następnej niedzieli udał się do innego kościoła, aby asystować przy nabożeństwie i z największą przykrością usłyszał innego księdza, który wygłosił to samo kazanie. Zniecierpliwiony tym nadużyciem dobrej wiary, nasz dziekan począł wyrzucać autorowi, że sprzedał mu kopię cudzego kazania, zamiast oryginalnego dzieła.

— Pan zupełnie się myli — powiedział literat — to tamten kaznodzieja dostał kopię, a pan miał oryginał.

Ukochana! Kocham cię taką miłością, jakiej świat nie widział. I nie ma takiej ofiary, którejbym dla Ciebie nie poniósł. Szkoda, że nie żyjemy w czasach, kiedy mężczyzna mógł udowodnić ukochanej kobiecie miłość bohaterskimi czynami. Wtedy biegłbym do ciebie przez rwące potoki, dzikie góry, karkołomne przepaści — nie wstrzymałby mnie ogień nawet, gdyby mi stanął na drodze do Ciebie.

Twój Zygmunt

P. S. Jutro popołudniu wybiorę się do Ciebie z wizytą, o ile dopisze pogoda

— Czy ma pan coś przeciwko piegom?

— Gdzieżbym śmiał! Boże!

Rys. Zbigniew Kiujin

— Gdzie on leje?

Poradnik kalotechniczny

Przeciw zmarszczkom.

Wbrew ogólnemu mniemaniu, zmarszczki są nie tyle oznaką starości lub t. zw. silnych przeżyć życiowych, ile — pospolitego niechlujstwa. Nic łatwiejszego bowiem, jak wziąć pomarszczoną część ciała, zwilżyć mokrym ręcznikiem i odprasować żelazkiem przez zaparzaczkę.

Przeciw odciskom.

Z uwagi na zdumiewające właściwości kamfory, zaleca się przede wszystkim patentowany środek Kuźmy Prutkowa: nacieranie odcisków kamforą. Ponadto nieodzowne jest używanie t. zw. ciasnego obuwia, jako nie pozostawiającego miejsca na rozrost odcisków.

Przeciw owłosieniu.

Nadmierne, szpecące owłosienie rąk i nóg da się łatwo usunąć przy pomocy silnego nacierania kamieniem piekielnym lub glaspapierem. Po zabiegu należy natarte miejsce pokryć nową skórą.

Przeciw czerwoności nosa

Rozpowszechniać wiadomości, że czerwoność powstała wskutek odmrożenia.

Przeciw odstającym uszom.

O ile się nie da przystrzyc — przykleić do włosów.

Przeciw wilgotnym dłoniom.

Trzymać stale na kaloryferze.

Magr. Piegus.

— Wiesz, jak człowiek tak myśli i myśli, to nawet może coś wymyśleć!

— No, no, coś wymyślił?

— Jakto co? Przecież ci przed chwilą powiedziałem!

Rys. Zbigniew Kiujin

— Dlaczego pijesz ocet?

— Bo doktór kazał dawać dziecku kwaśne mleko!

Odpowiedzi Redakcji

„A. B. C." (Warszawa). Rysunki, niestety, do następnej litery alfabetu.

Witold Brust (Łódź). Ze względów technicznych — działu „Odkrywamy nowe talenty" nie będziemy narazie zamieszczali.

Lucjan Iwański (Częstochowa). Może co innego? To, co nadesłane — niestety, nie nadaje się dla nas.

Zdzisław Drwal (Kraków). Mimo b. kosztownego tytułu („Perły") humoreska jest niewiele warta.

S. Brzezna (Poznań). Dziękujemy za nadesłane „kawałki humoru": prosimy, jeśli to możliwe o humor „w całości".

Wiktor Stelczyk (Katowice). Pomysł dobry, ale wykonanie, niestety, nie na poziomie pomysłu.

Stanisław Rybczyński (Warszawa). Dziękujemy za pozdrowienia i wyrazy uznania. B. cieszymy się, że pismo nasze Panu się podoba.

Danuta Malczykówna (Gdańsk). Jak wyżej.

Bilet do teatru jest b' drogi, ale za cenę jednego biletu możesz zobaczyć kilkadziesiąt przebstowień w książce „Z NASZEJ LOŻY" P. Hertza i J. Rojewskiego Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Przedruk bez podania źródła wzbroniony. „Rózgi" ukazują się co tydzień. — Redakcja: Łódź, ul. Piotrkowska 93, telefon 212-57
Redaguja: Stanisław Sojecki, Stefan Stefański, Henryk Tomaszewski Przyjmuje się codziennie od 12-ej do 14-ej D 09373
Wydaje „Łódzki Instytut Wydawniczy", Żwirki 17, tel. 206-46